

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2022 | NR 3 (51)

REPORTAŻ

Czy na pustyni
można żyć?

Stocznia Gdańska:
co zostało z mitu?

ROZMOWA

Fotografowałam
prezydentów
Polski

ESEJ

Francja wstaje
z kolan

LITERATURA

Papuzanka
Pustkowiak

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

03 >

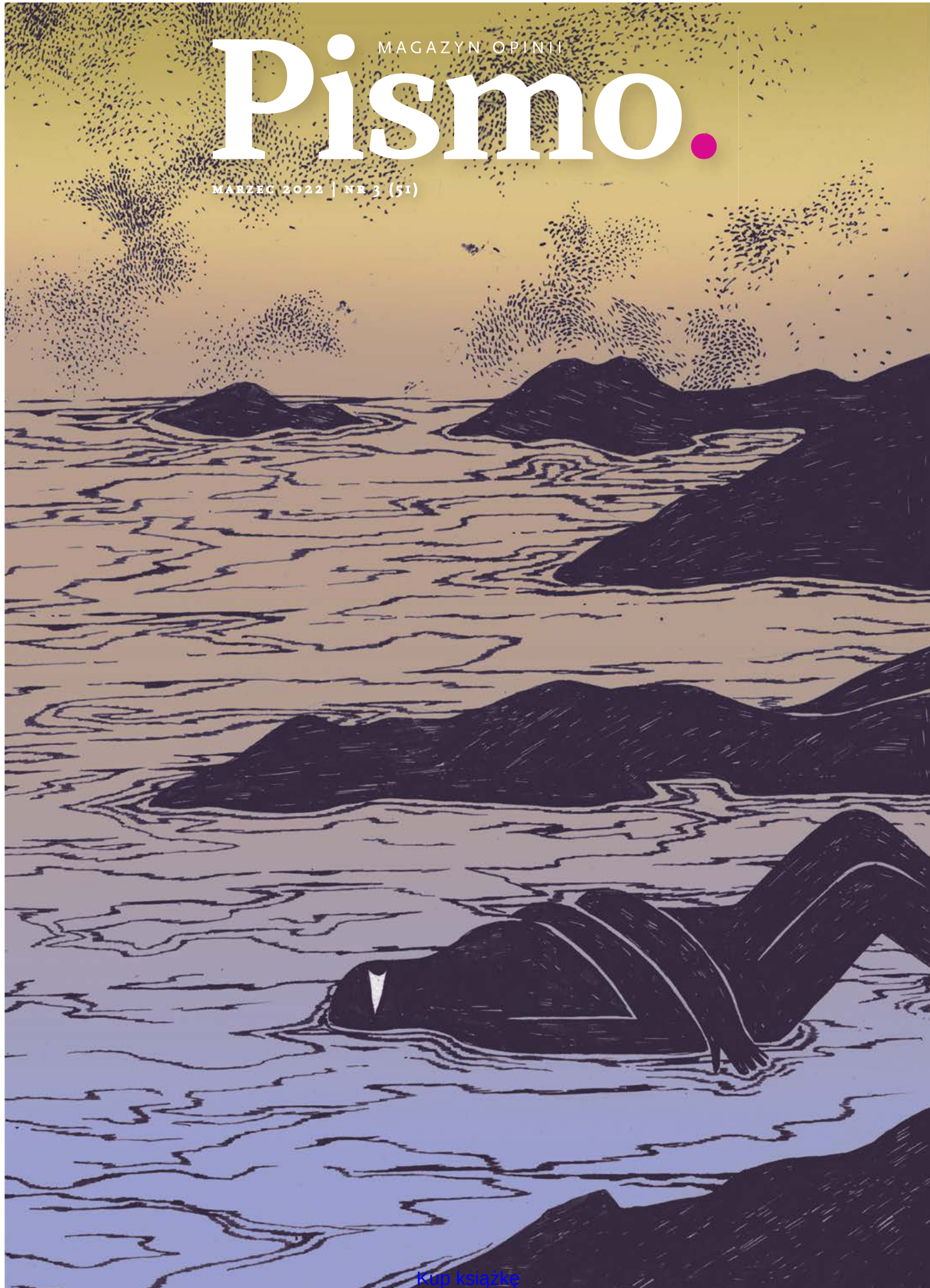


9 772544 502203

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2022 | NR 3 (51)



[Kup książkę](#)

**Kup prenumeratę
i odbierz dostęp online
w prezencie.**

MAGAZYN OPINII
Pismo.



Prenumerata z dostępem online to:

- co miesiąc drukowany numer „Pisma”
- bezpłatna wysyłka przed premierą
- dostęp do wszystkich treści na magazynpismo.pl
- wydania na czytniki (pliki: PDF, epub i mobi)
- numer miesięcznika w lektorskiej wersji audio
- dodatkowe treści dostępne tylko online
- możliwość słuchania wszystkich sezonów „Śledztwa Pisma”
- pełne cyfrowe archiwum tekstów i nagrań
- ikoniczne okładki w wersji do druku
- zaproszenie do zamkniętej grupy „Czytamy Pismo”



już od
14,99 zł
za miesiąc

magazynpismo.pl/prenumerata

[Kup książkę](#)

Pismo.

MARZEC 2022

PROZA

Słowa na wiatr | 6
ZOŚKA PAPUŻANKA

Lady Potwór | 92
PATRYCJA PUSTKOWIAK

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w marcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 89
JAN MOŹDŻYŃSKI

POEZJA

NIC | 37
BRUNO JASIEŃSKI

Irena | 45
RENATE SCHMIDGALL

Warunek pamięci | 67
LULJETA LLESHANAKU

OBRAZ

CYKL REMEDIUM **Nowy rozdział** | 4
RAV.A STORIES

W RAMACH PISMA | 90
Bałwan cytatów OSKAR DAWICKI

KOMIKS | 76
Siunjata beskidzka HENRYK

OKŁADKA **Mimikra**
KAROLINA LUBASZKO

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Kim jestem?**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelnicki

96 | PRZYPISY **À propos niczego**
ZUZANNA KOWALCZYK

ROZMOWA

10 | **Jedyna fotografka prezydentów**
Z ELIZĄ RADZIKOWSKĄ-BIAŁOBRZEWSKĄ rozmawia MONIKA SZEWCZYK-WITTEK

PODRÓŻ

22 | **Kapsuła**
IZA KLEMENTOWSKA zastanawia się, czy na pustyni można dobrze żyć

FOTO | REPORTAŻ

30 | **W poszukiwaniu domu i pokoju**
JULIA SZABŁOWSKA z wizytą u Białorusinów żyjących w Polsce

REPORTAŻ

46 | **Stocznia niemożliwa**
FILIP SPRINGER mierzy się z mitem miejsca, w którym walczone o lepsze jutro

84 | **Dzikość**
ELIZABETH KOLBERT zagląda do jaskini skrywającej prehistorię

STUDIUM

38 | **Wiatr zmian w energetyce**
MAGDALENA SKŁODOWSKA sprawdza, czy wiatraki obniżą ceny prądu

PORTRET

58 | **Nieodparty urok Omara Sy**
LAUREN COLLINS o tym, jak aktor z paryskich przedmieść trafił do Hollywood

ESEJ

68 | **Francuzi wstają z kolan**
SZYMON ŁUCYK analizuje przedwyborczą sytuację we Francji

Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarzowanie redakcji:** Katarzyna Kazimierowska,
Felieton: Marcin Wicha, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, **Promocja:** Ewa Salamon, **Fundraising:** Natalia Czarkowska,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, **Reklama:** reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Kim jestem?

Kim jest Julia?

Pytanie należy do kategorii trudne, zwłaszcza jeśli nie możemy dokonać bezpośrednich oględzin rzeczonoj. Mimo to spróbujmy.

Julia: przedstawicielka gatunku *homo sapiens*, który pojawił się na Ziemi dwieście lub trzysta tysięcy lat temu i zastąpił starsze gatunki człowieka, takie jak *homo habilis*, *homo rudolfensis* czy *homo erectus*. Należy do gatunku, który zwyciężył. Gratulacje, Julio.

Julia: potomkini neandertalczyków, bo dziś już wiemy, że nasi przodkowie parzyli się z neandertalczykami, tak, tak, w Julii płynie krew tych dawnych barbarzyńców. No cóż.

Julia: należy do gatunku, który zwyciężył, ale i gatunku, który najprawdopodobniej przegra. Przegra swój ekosystem, jest bowiem gatunkiem szkodniczym, który potrafi z każdego pełnego życia lasu zrobić kukurydziano-zbożową monokulturę, zabijając w ten sposób inne gatunki. Biada Julii.

Julia: stworzenie wybrane. Potomkini Ewy i Adama, którzy usłyszeli od Boga: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, bo lubię na to patrzeć, abyście zaludnili Ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po Ziemi”. Jeśli ktoś chce znać moją opinię, wtedy właśnie zaczęły się wszystkie nasze problemy. Także kłopoty Julii.

Julia: dziewczyna o włosach nieokreślonego koloru. Dbą o higienę jamy ustnej, nawet gdy trapią ją głębokie problemy. To na pewno godne pochwały.

Julia: cudowna i niemożliwa chmura atomów, trzymających się w stadzie tajemniczą energią kosmosu. Jeśli to nie jest cud, to nie wiem, co nim jest. Jesteś cudem, Julio.

Julia: to, co zostałoby z Julii, gdyby odebrać jej ciało, jest bowiem duszą.

Julia: ciało, w którym zachodzi naraz kwadrylion procesów; mitochondria produkują energię, serce kurczy się i wypływa z siebie krew we wszystkich kierunkach przez małe rurki zwane tętnicami; małe cząsteczki kopiuje materiał genetyczny w jądrach niezliczonych komórek i powracają do cytoplazmy, by tam tworzyć jeszcze więcej Julii.

Julia: kropka na mapie społecznej, połączona z innymi kropkami modelu sieci ogromnej liczby relacji reprezentowanych przez podobne do dendrytów linie. Jedną z tych relacji została niedawno przecięta i kropka Julia nie może sobie znaleźć miejsca; kropka Julia boi się, że spadnie gdzieś w niebyt, poza mapę. Trzymaj się, kochana kropko Julio.

Julia: abstrakcyjne centrum praw własności, łączących podmioty prawne z różnymi przedmiotami. Są to na przykład ubrania i książki; Julia dotyka grzbietów tych książek i nie rozpoznaje ich, a mimo to prawo własności wciąż jest w mocy. „Czemu nas nie pamiętasz? – pytają szeptem zasmucone książki. – Wciąż jesteśmy twoje. To niesprawiedliwe, myśmy się nie zmieniły, a ty dotykasz nas zupełnie inaczej, jest nam z tym nieswojo”. Nie martwcie się, książki; Julia do was wróci, wiem to.

Julia: przedstawicielka jednego z tych gatunków, które posiadają samoświadomość (zrozumienie, że są odrębnym bytem) badaną przez naukowców przy pomocy testu lustra. Podobnie jak szympansy i delfiny, a także słonie, Julia zdaje test lustra, bowiem bezbłędnie dotyka się w miejsce, w którym eksperymentator narysował jej na czole czerwony znak. A jednak Julia nie wie, kim jest. Co to nam mówi o teście lustra?

Julia: pasażerka. Klientka. Pracownica. Uczennica. Petentka. Powódka. Pacjentka. Obywatelka. Ładna. Brzydka. Niska, wysoka. Dawczyni o rzadkiej (częstej?) grupie krwi.

Julia: jest tym wszystkim i żadną z tych rzeczy, bo klasyfikacja musi zblednąć w obliczu samej Julii.

Nigdy nie nauczysz się siebie, Julio. Jest w tobie cały kosmos i tysiąc wymiarów, nigdy nie przejdiesz ich wszystkich. Ale to nic; i tak przyjdzie taki dzień, że obudzisz się i pójdziesz pewnym krokiem, bez wahań, bez poczucia, że idziesz jak we śnie. Zobaczysz się w lustrze i uśmiechniesz się do tej tajemniczej istoty, którą jesteś – i będziesz się cieszyć tą piękną, straszną, cudowną, niezgłębiałą tajemnicą.

Kup książkę

Droga K,

piszę do ciebie, bo intensywnie zastanawiam się ostatnio nad tym, kim jestem. (...) Patrzę w lustro rano: nawet włosy mam nieokreślonego koloru. (...) Codziennie kiedy myję zęby, patrzę na swoją twarz i zastanawiam się, kim jest ta dziewczyna. Znam ją tak długo, a nagle nie mam pojęcia. (...) Zostawił mnie chłopak po wielu wspólnych latach, bo zeszliśmy się już w liceum, i bez niego jakbym straciła kawałek siebie, ten potrzebny, kiedy nie wąpisz w siebie i rozumiesz, kim jesteś. Nie o to chodzi, że za nim tęsknię. Owszem, trochę tęsknię, ale bardziej jeszcze tęsknię za sobą. Otwieram szafę: czy to w ogóle moje ubrania? Czy to moje rzeczy? Moje książki? Proszę, tylko nie mów, że mam iść na terapię. Kiedyś tam trafię, ale jeszcze nie teraz. Chciałabym najpierw znów rozpoznać się w lustrze i nauczyć się siebie (...).

Julia

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **marcu**

obraz BEATA STANKIEWICZ



W dziesiątą rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej w MOCAK-u

W Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie od 1 lutego trwa wystawa *W dziesiątą rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej*. Możemy na niej zobaczyć przegląd kolaży poetki wraz z polskimi wydawnictwami jej wierszy, wyborem tłumaczeń i poświęconych jej monografi, plakaty Ryszarda Krynickiego, prywatne pamiątki oraz portrety Szymborskiej autorstwa Beaty Stankiewicz, Leszka Sobockiego i Krzysztofa M. Bednarskiego. Wystawa powstała w ramach cyklu literackiego prezentującego mistrzów literatury jako artystów wizualnych.

WIĘCEJ: mocak.pl



Zderzenia epistemiczne. Sztuka, nauka i antropocen w CSW Łaźnia w Gdańsku

Od 4 lutego w Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia w Gdańsku trwa wystawa *Zderzenia epistemiczne. Sztuka, nauka i antropocen*, będąca zwieńczeniem trzynastu artystyczno-naukowych rezydencji w ramach projektu *Studiopia: Art meets Science in the Anthropocene*. Jej kuratorzy podejmują temat wyzwań ekologicznych i społecznych, styku człowieka z technologią oraz celów zrównoważonego rozwoju wyznaczonych przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Wystawę można oglądać do 3 kwietnia.

WIĘCEJ: laznia.pl

5

Marzec 2022

31



Wystawa Antoniego Gaudiego w CK Zamek w Poznaniu

Piątego marca w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu otwiera się pierwsza w Polsce wystawa poświęcona twórczości jednego z najwybitniejszych światowych artystów i wizjonerów, katalońskiego architekta Antoniego Gaudiego. Na wystawie zaprezentowanych zostanie ponad sto pięćdziesiąt eksponatów pochodzących z kolekcji hiszpańskich instytucji publicznych oraz prywatnych. Oglądać ją można do 3 lipca.

WIĘCEJ: ckzamek.pl



Wystawa *Materia(l)nie* w Galerii Studio w Warszawie

Do 17 kwietnia w warszawskiej Galerii Studio można oglądać wystawę *Materia(l)nie*, podczas której artystka Alicja Bielawska wchodzi w dialog z serią rzeźb Barbary Falender *Poduszki erotyczne* z 1973 roku. Głównym tematem wystawionych prac jest kobieca rozkosz i przyjemność płynąca z seksualności. Wystawa jest częścią roku jubileuszowego i obchodów pięćdziesięciolecia Teatru i Galerii Studio.

WIĘCEJ: teatrstudio.pl

Festiwal World Wide Warsaw

World Wide Warsaw to pierwszy festiwal *multi-venue*, czyli wydarzenie, podczas którego koncerty odbywać się będą naraz w kilkunastu klubach i nietypowych przestrzeniach Warszawy. W szóstej już edycji festiwalu weźmie udział ponad czterdziestu artystów, prezentujących różnorodne gatunki muzyczne. Organizatorzy zapraszają do stolicy w dniach 31 marca – 2 kwietnia.

WIĘCEJ: worldwidewarsaw.com



materiały prasowe

Kup książkę

Nowy rozdział

zdjęcie KATARZYNA HECZKO BODORA
tekst KAROLINA WYBRANIEC

Może to być początek roku. Szaruga. Dający się we znaki bezruch. Zastygłe ciało, czekające na ciepło lata. I przemęczona głowa, marząca o powiewie świeżości wraz z wiosną.

Lecz na to przyjdzie jeszcze czas.

Zaszywamy się w naszych domach, przyzwyczajeni dotąd do wiecznego działania. Czujemy, jak nas roznosi od poczucia wewnętrznej niemocy. Chcemy coś zrobić, ale bezskutecznie. Ciągłe coś nie gra.

Gdzieś jest w nas ta isierka, ale tylko się tli. Nie na tyle, by dać nam siłę, więc wciąż trwamy w stagnacji. A stagnacja to niepozorna bestia. Trzeba wiedzieć, jak ją okiełznać, żeby nie odebrała nam naszej własnej sprawczości. Najczęściej pierwszym rozwiązaniem, jakie przychodzi nam do głowy, jest podróż – potrzeba nagłej zmiany perspektywy, w dużym kontraście do tego, co nam dobrze znane.

Odkrywanie świata to jeden z najlepszych sposobów na poznanie umysłu. Łatwiej wtedy dostrzec to, co dotąd umykało naszej uwadze. Ale pamiętajmy, że nawet wyjeżdżając z jednym małym plecakiem, tak naprawdę będziemy tam z całym naszym dobytkiem – tym, który mieści się w nas samych.

Inicjując podróż, rozpoczynamy ruch. Coś zaczyna się zmieniać, coś przepływa. Ale w ujarzmianiu stagnacji nie chodzi tylko o to, by nagle poczuć ten przepływ. Trzeba z nim płynąć, a wtedy łatwiej jest swobodnie się z niej wygrzebać, krok po kroku.

Bo mimo że nasza historia jest zakopana, my ciągle pozostajemy jej podmiotem. I mamy wybór. Możemy na nowo stać się narratorem tej opowieści i swoim działaniem dopisać jej dalszy bieg.





Słowa na wiatr

tekst ZOŚKA PAPUŻANKA

Tylko woda, dziękuję.
Umowa albo teraz, albo po spotkaniu, jak wygodniej.

Oczywiście, może być teraz.

Nie, bankiet nie, może na chwilkę, ale planowałam od razu wrócić do hotelu, mam jeszcze trochę pracy, a jutro z samego rana pociąg.

I znowu to samo.

Kilka osób już siedzi, kilka kręci się po sali, oglądając ze ślepym zainteresowaniem gołe ściany, jakby nie potrafiły zdecydować, czy przyszedły na spotkanie, czy nie, czy koniecznie muszą obnosić swoje non-szalanckie ajakmisię spodoba tozostanę. Wielu stoi na zewnątrz, palą, chociaż przed chwilą palili, zapalą zaraz znowu, wejda w ostatnim momencie, tak jest najwygodniej; wcale nie czekałem, ja tylko tak, wśród codziennych obowiązków, spotkanie literackie to takie samo zajęcie jak kupowanie pomidorów czy przejazd autobusem. Po drodze. Pośród innych spraw. Pomiedzy innymi ludźmi, wśród innych rozmów. Niby intymne, a publiczne przecież.

Najtrudniej jest wejść. Im i mnie. Nigdy nie wiem kiedy. Czy gdy sala jest pusta, czy gdy część siedzi, część się rozgląda, czy też należy się rozglądać, jakby się przyszło z zamiarem wykonania zupełnie innej czynności, jakby się było zwiedzającym, nie zwiędzanym, a na tych kilka pytań odpowiedziało

się zupełnie przypadkiem, jak podczas spaceru brzegiem morza, odgarniamy włosy z czoła, a fale zgarniają nas na piasek, co tam u ciebie. Czy też może wejść dopiero wtedy, gdy już wszyscy siedzą na swoich miejscach, pozwolić się zapowiedzieć, trochę jak w cyrku, no i całe to siadanie, przypinanie mikrofonu, nalewanie wody do szklanki, cała ta moja zwykłość na ich oczach. Można też przyjść dużo wcześniej i patrzeć, jak wchodzi, rozpinają kurtki i płaszcze, wyłączają telefony, wyjmują gumę do żucia z ust i ważą jej miętowe przekleństwo między palcami. Można pooglądać ich zwykłość, to fascynujące, ale niemoralne.

Z czego pani czerpie natchnienie i co panią inspiruje. Otóż ta zwykłość wasza, powinienam odpowiedzieć. Te guziki wołające o przyszycie, w pół drogi między płaszczem a podłogą, ta pani ze swoim halonie mogą teraz rozmawiać odgrzeje sobie nie wiem kiedy wrócę bo jestem na spotkaniu autorskim, miętowa guma do żucia między kciukiem a palcem wskazującym tamtej dziewczyny, guma, która wybiera sobie właśnie miejsce ostatecznego przylepienia. Powinnam tak odpowiedzieć. Ale się obrażą. Trzeba powiedzieć, że natura, ulubieni pisarze, nie pisarze, mistrzowie słowa, przeżycia estetyczne rozmiarów gargantuicznych. Jeśli już, to nie mówić wy, tylko codzienny wyrafinowany kontakt z ludzkością, czyli że chciałabym

pogrzebać w waszych szafkach na detergenty i podsłuchiwać, jak wrzeszczycie na dzieci, ale tak nie można mówić do czytelników.

Z czego pani czerpie natchnienie. Jakie są źródła pani inspiracji. Dlaczego pani napisała tę książkę. Tę. Nad czym pani obecnie pracuje. Ile w pani książce jest pani, a ile nie pani, ile pani jakiejś innej, proszę bezwzględnie podać w liczbach bezwzględnych lub w punktach procentowych. Pani jest bardzo wnikliwą obserwatorką świata, no to jak pani obserwuje ten świat, że aż tak wnikliwie.

Imię i nazwisko. I czym się zajmuję. I co napisałam. I co piszę. I co napiszę. Nalewam wody do szklanki.

Za panem mówiącym o mnie rzeczy, których sama o sobie nie wiem, na scenie siedzi jeszcze jedna osoba, młoda dziewczyna w niebieskiej bluzce. Nie patrzy ani na mnie, ani na zadającego pytania, wzrok ma raczej nieruchomy, zatrzymany gdzieś wysoko, na lampie pod sufitem. Nie musi patrzeć, tylko jej uszy i ręce są w pracy. Dotyka swoich ramion, czoła, składa w powietrzu origami, niewidzialne żurawie z niewidzialnego papieru. Chwilę dziwię się jej tańczącym palcom, zanim przypomnę sobie, że wszystkie spotkania na festiwalu są tłumaczone na język migowy i że jeśli będę patrzeć na słowa jej palców, do głowy nie przyjdą mi moje własne. Ona łapie uchem moje słowa i przekłada je na język rąk. Ciekawe, ilu ludzi, jeden

[Kup książkę](#)



na dziesięciu, piętnastu, ci, którzy przyszedli jako pierwsi, czy ci, którzy wemknęli się pięć minut po rozpoczęciu, kto z nich umie czytać w powietrzu moją odpowiedź na pytanie, skąd się bierze pomysł na książkę. Skąd się bierze pomysł na książkę. Nie wiem, pewnie z powietrza.

Ruchy palców w powietrzu są ładniejsze niż dźwięki. Dziewczyna wygląda, jakby szyla coś z tego, co mówię. Jakby pestkowała owoce i odkładała do dużej misy te, które nadają się na dżem. Nie wiem, zapewne z powietrza. Ciekawe, czy ładne w powietrzu są te same słowa, które ładnie wyglądają na papierze. Fajka, lutnia, winorośl, zawiść. Powietrze. A może te, które brzmią ładnie, te, które pieszczą ucho, może te właśnie są jak krem rumiankowy dla rąk, które je wypowiadają. Strumień, skrzynia, kosodrzewina, zawiść. Powietrze. Ciekawe, które moje słowa wyglądają ładnie w powietrzu, które to są te upuszczane szybko i ze wstrętem, jak stonoga, a które wymagają podtrzymania jak srebrna nić, miękkie włosy dziecka, długa suknia.

Ja piszę, oddaję do druku, znowu piszę, znowu robię wszystko, żeby słowa pozbierać. Tłumaczka języka migowego odwrotnie, ona słowa odpycha, odkłada, rzuca na wiatr. Naprawdę odchodzą z wiatrem i nic po nich. Nic po nich nie zostaje, tak jest najlepiej.

Ile w twojej ostatniej książce jest ciebie, a ile ciebie jest w twoich słowach rzucanych na wiatr.

Mówię dużo i gęsto, brnę przez banalne pytanie albo okrążam je, zmieniam temat; po dwóch minutach odpowiedzi i tak niewielu ludzi pamięta, co było na początku. Skończyć, podpisać książki i wszyscy pójść, gdzieś pójść. Ciekawe, ile osób na sali potrzebuje rąk dziewczyny, ilu ludzi nie słyszy moich słów, wyciąga je tylko spomiędzy palców tłumaczki jak rozerwany sznur koralu, które posypały się pod łóżko. Komu dziewczyna w niebieskiej bluzce jest bardziej potrzebna niż ja. Ile osób patrzy nie na mnie, lecz na nią. Tamta starsza pani. Nie, raczej nie. Chłopak w drugim rzędzie. Nie, szepcze coś na ucho siedzącej obok kobiecie.

Wszystkie festiwalowe spotkania tłumaczone są na język migowy, ale kto słucha tych słów. Ile osób słucha słów, które widać. Może wszyscy, a może nikt.

Mniej więcej w połowie spotkania moja tłumaczka w niebieskiej bluzce podnosi się z krzesła, skleja coś jeszcze w palcach i szybko zamienia się miejscami z siedzącym w pierwszym rzędzie mężczyzną, na którego do tej pory nie zwróciłam uwagi, być może dlatego, że przesłaniała go kamera. Mężczyzna siada na krześle dla tłumacza i natychmiast podejmuje wątek, który przerwały palce dziewczyny, zupełnie jakby czytali jedną książkę, którą ona przed chwilą założyła zakładką w miejscu, w którym on teraz czyta, czyta i pisze niewidzialnymi literami moje słowa, które tak naprawdę piszę i które mówię ja. I co mnie najbardziej inspiruje, oczywiście, pada pytanie od publiczności, bo teraz jest chwila na pytania od publiczności i publiczność zadaje pytania, które już wcześniej zadał prowadzący spotkanie, te same pytania, na które powinnam odpowiedzieć inaczej niż za pierwszym razem.

Nalewam wodę do szklanki, piję powoli, rozważam słowa, nie przychodzi mi to z łatwością. Milczę. Milczę, a palce nowego tłumacza rysują nowe słowa. Powinien już chyba skończyć tłumaczyć pytanie, było przecież krótkie i proste, ja nie zaczęłam udzielać odpowiedzi, a jego ręce składają się i składają w coraz to nowe konfiguracje. Tłumacz przerywa. Patrzy na mnie. Oczy ma niebieskie jak bluzka dziewczyny, która siedziała tu przed nim. Upijam jeszcze jeden łyk wody i kątem oka widzę, jak odpoczywające przed chwilą dłonie tłumaczki, dłonie w niebieskich rękawach, dłonie zapracowane w czasie pierwszej połowy spotkania, podnoszą się z kolan dziewczyny, na których leżały grzecznie jak dwa zmęczone lotem liście kasztanowca, podnoszą się tylko do nadgarstków i kreślą symbol, który miał pozostać niewidoczny, znak wyglądający jak nieśmiała odpowiedź na zadane wprost pytanie.

Powoli odstawiam szklankę. Nie trzeba mojego gestu przekładać na język migowy,

a jednak palce mężczyzny cały czas coś mówią, tłumacz cierpliwie słowa, których nie było.

Układałam w dźwięki głupią odpowiedź na głupie pytanie, krótką, spokojną, banalną odpowiedź, wyrazi bez charakteru, ubrane w beżowy płaszcz z sieciowego sklepu jak wszystkie wyrazy, które codziennie jadą przed ósmą rano tramwajem do pracy, wyrazy żadne. I czekam. Palce tłumacza wykonują kilka nieskomplikowanych układów, a potem zaczynają dokąś biec, szukają miejsca na ciebie mężczyzny, komunikują się z czołem, z sercem, jakby uznały moją odpowiedź za zbyt trywialną i podjęły decyzję o uzupełnieniu jej pięknym porównaniem. Dziewczyna, która tłumaczyła pierwszą część spotkania, teraz wbija wzrok w swojego następcę, a jej palce wypowiadają coś stanowczego, wykrzykują to nisko, tuż ponad jej kolanami, jakby dłonie nie chciały, żeby zobaczyła, co mają do powiedzenia, jakby działały autonomicznie, w oderwaniu od jej woli.

Moja ciotka pracowała kiedyś w szkole dla dzieci głuchoniemych. Palila cienkie papierosy, była cienka i dystygowana jak one; uważała, że nadmierne okazywanie emocji po prostu nie przystoi przedstawicielom gatunku ludzkiego, dlatego gdy się zdenerwowała, kłęta gestem; stukała dwoma złożonymi palcami prawej ręki w przedramię, co oznaczało brzydkie słowo. Uwalniała się w ten sposób od złości, dając upust palcom, nie słowom. Oprócz pięknego znaku przekleństwa nauczyła mnie jeszcze kilku przypadkowych rzeczowników, które nigdy wcześniej nie były mi przydatne. Cytryna na przykład. Umiem powiedzieć cytryna, cytrynę ściska się trzema palcami, zupełnie jakby się trzymało między nimi niewielką gumową piłkę. Zdarzają się takie dziwne pytania, ostre jak brzytwa, kwaśne jak plasterek cytryny, mówię na głos i czekam na znak ręki tłumacza, ale on się nie pojawia.

Dom, jeszcze pamiętam dom. Dom to ręce składające się palcami w daszek, schronienie dla słów. Dom to takie schronienie dla słów, mówię. Patrzę na palce mojego

tłumacza, ale nie szukają schronienia dla słów, nie układają się w daszek, przeciwnie, szukają sobie jakiejś napowietrznej wolności, jakby błędziły po ciele, którego pragną, a które jest daleko, zbyt daleko, w rzędzie naprzeciwko. Nie rozumiem, co mówią palce, ale gdybym rozumiała, mówiłyby: chodźmy stąd, wszyscy na nas patrzą, a ja chcę szepnąć ci słowa, które wymagają ust, bo ręce dla nich to za mało.

Dzień. Umieję pokazać dzień. Dzień w języku migowym jest rozkładającym się wachlarzem dłoni, rozsuwanymi zastonami, słońcem podnoszącym się zza morza. Taki dzień, mówię, dzień za dniem, sprawdzam, patrzę tłumaczowi na ręce. Ale jego ręce wcale nie rysują dnia i zamiast się otwierać, zaciskają pięści, krzyżują się na piersiach, a potem jedna z nich wyciąga się w stronę niebieskiej bluzki z drobnym, prawie niezauważalnym gestem, jakby dając jej publicznie to, co miało być intymne. Wydaje mi się, że dziewczyna kręci głowę, ale uśmiecha się, a jej palce, które naprawdę mówią to, co myślą, pokazują nieśmiało, czego chcą, a co jest takie trudne do znalezienia w słowach. A może nie. Może ja to właśnie powiedziałam, co mężczyzna tłumaczy, może mówię coś innego, niż słyszę. Może nie wolno mi tak na nich patrzeć, kiedy wszyscy na nich patrzą, może nie wolno mi doszukiwać się znaczenia w znakach, których nie rozumiem, a które stają się wspólne.

Patrzę. Patrzę i nie wiem, co mówią. Ani co mówią oni, ani czy ktoś ich słyszy.

Może na sali nie ma nikogo, komu potrzebne są słowa sklejane między palcami, może wystarczy mój głos, a ta para tłumaczy nie tłumaczy niczego, tylko swobodnie plotkuje, przekręcając moje odpowiedzi, z czego pani czerpie inspirację, z pana palców mogłabym zaczerpnąć. Albo się kłóć. On jest jej mentorem i poucza ją, jak nie należy mówić. Nigdy więcej tak nie pokazuj, to niedopuszczalne. Jak mogłaś. Jak twoje dłonie mogły, jak w ogóle na to wpadły.

Pewnie najpierw wplatają jakieś pojedyncze słowa bez związku, a gdy się orientują, że nikt na nich nie patrzy, mają w nosie to, co mnie inspiruje, i czy piszę ręcznie, czy na komputerze, i rozmawiają w najlepsze o jakichś swoich sprawach, czy ty wiesz, jaki ostatnio zrobiłam błąd, co mi się pomyliło,

źle przeliterowałam, tyle było tych nazw własnych, palce mi się poplątały, ludzie się śmiali, co za wpadka. Mogłaby już kończyć, prawie półtorej godziny gada o niczym, ręce opadają.

Patrzę na ich dłonie i ciała, nie mogę odebrać wzroku od niewidzialnych pajęczyn, które wokół siebie płaczą, i czuję, jak moje słowa, jedyna rzecz, z której jestem naprawdę dumna, moje słowa, które ludzie kupują i czytają, których chcą słuchać, moje słowa uciekają z moich ust zbyt szybko, bez stylu i zastanowienia. Wydają mi się nagie i głupie, jakby rzeczywiście jedyną ich ambicją stało się nagle odpowiedzieć na pytanie, co je inspiruje albo nad czym obecnie pracują.

Są kochankami. Umawiają się na później, kiedy ja już przestanę gadać, a ich palce w jakimś hotelowym pokoju albo pod stolikiem w restauracji będą mogły robić, co do nich należy. On zaznacza palcem na swoim ciele te miejsca, gdzie planuje jej dotykać. Ona trochę się opiera, przecież tu jest tylu ludzi, ktoś nas może zobaczyć. Wszyscy nas mogą zobaczyć, wszyscy nas widzą, ale nas nie rozumieją, mówi on, nic się nie bój, powiesz, że po spotkaniu był bankiet i nie wypadało ci odmówić. A ja narysuję na twoim brzuchu takie słowa, o których nawet nie pomyślałaś, które żadnemu pisarzowi nie przyjdą pod pióro ani pod klawiaturę. A twoja żona, pyta dziewczyna. Nie przejmuj się żoną, już jej powiedziałem, że zostaję na bankiecie. Jego

żona pewnie siedzi w drugim rzędzie, patrzy spokojnie przed siebie i się uśmiecha.

I jeszcze ostatnie pytanie. Nad czym pani obecnie pracuje.

Ktoś klaszcze, ktoś wstaje i ostentacyjnie wychodzi, ktoś przynosi mały stolik, przystawia mi krzesło. Nalewam wodę, wyciągam z torebki pióro, udaję, że jeszcze rozmawiam z organizatorami festiwalu, żeby zabić trzy puste minuty, które muszą upłynąć, zanim ustawi się kolejka osób ściskających moje książki. Poszukiwanie straconego czasu jest takie proste, przecież to właśnie tych dziesięć minut przed i trzy minuty po każdym spotkaniu autorskim, trzynaście minut z każdego spotkania, można by zebrać z łatwością ze trzy godziny straconego czasu na każdym festiwalu literackim, tylko co z tym czasem potem zrobić. Po co się go szuka właściwie.

To dla mamy na imieniny. Dla Agnieszki, to ja jestem Agnieszka. Dla Kasi i Wojtka. Sam podpis, bez dedykacji. A ja jeszcze nie czytałam żadnej pani książki, ale przeczytałam, obiecuję, tak ładnie pani mówiła, obrazowo.

Zakręcam pióro, wkładam ręce głęboko do kieszeni płaszcza. Są gotowe. Temat jest w palcach, trzeba tylko odnaleźć czas stracony i zasiąść do tkania. Ktoś zatrzymuje mnie jeszcze w drzwiach. Tak, jestem bardzo zadowolona ze spotkania. Bankiet, ach tak, ale raczej daruję sobie bankiet, jestem już ze sobą umówiona.



ROZMOWA

Jedyna fotograafka prezydentów

z ELIZĄ RADZIKOWSKĄ-BIAŁOBRZEWSKĄ
rozmawia MONIKA SZEWCZYK-WITTEK





Prezydent Aleksander Kwaśniewski karmi foki na Helu.

[Kup książkę](#)

DO KANCELARII PREZYDENTA RP trafiła pod koniec lat 90., jako maturzystka. Jak fotografować głowę państwa uczył ją Damazy Kwiatkowski – wieloletni fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej i główny fotograf prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Potem przez krótki czas dokumentowała pracę Lecha Kaczyńskiego, następnie Bronisława Komorowskiego, a obecnie prezydenta Andrzeja Dudy.

Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy wzięłaś aparat do ręki?

Miałam naście lat. Pierwszy, który dostałam, nie był doskonały, bo ciągle się złościłam, że zdjęcia wychodzą nieostre, a mama – Małgorzata Radzikowska – cierpliwie tłumaczyła, że to ja muszę tę ostrość ustawić. Aparat towarzyszył mi na obozach harcerskich, gdzie robiłam dokumentację ze wszystkich wydarzeń. Ale wtedy mówiłam, że fotografia to przyjemność, a nie przyszły zawód. Długo się buntowałam, a wyszło inaczej. Może tak miało być, bo fotografia zawsze była obecna w moim życiu – moja mama od 1980 roku prowadziła punkt fotograficzny w Domu Handlowym Smyk w Warszawie, gdzie robiła zdjęcia dzieciom.

A jak to się stało, że mama otworzyła taką działalność?

Najpierw w Polskiej Akademii Nauk (PAN) fotografowała różne obiekty przez mikroskop elektronowy. W dzieciństwie dużo chorowałam, więc mama zrezygnowała z pracy, żeby być ze mną. I wymyśliła sobie ten biznes. Rodzice zabierali dzieci do fryzjera, potem na galaretkę do Horteksu i do fotografa, czyli do mojej mamy. To ją pochłonęło jeszcze bardziej niż wcześniejsza praca w PAN, a ja siłą rzeczy często towarzyszyłam jej w pracy. Dobrze poznałam Smyk, od podziemi przez ostatnie piętro, gdzie nikt postronny nie wchodził.

Jakie zdjęcia robiła twoja mama?

Wykonywała tak zwane zdjęcia okolicznościowe w czasach, gdy używanie aparatu w domu nie było tak powszechne. Czasem się śmiała, że miała tyle zamówień, że zdjęcia z Bożego Narodzenia kończyła kopiować koło Wielkanocy. Fotografowała dzieci na kolorowych tłach, z misiem czy Świętym Mikołajem, za którego przebrał się albo mój wujek, albo tata. To był prawdziwy rodzinny biznes.

Mama współpracowała też z wytwórnią Polfilm, dla której robiła fotosy do filmów, między innymi do *Europy, Europy* czy *Kingsajzu*. Ciemnia mieściła się na drugim

końcu miasta, na Jelonkach. Często po pracy i zdjęciach zabierała mnie tam, pokazywała, jak wywołać film czarno-biały, jak robić kolorowe odbitki. Co prawda nie byłam zbyt chętna, by chłonać wiedzę, ale sporo w głowie mi zostało.

Mama była samoukiem?

Nie. Skończyła tę słynną szkołę przy ulicy Spokojnej.

Znam ją z opowieści innych fotografek – Technikum Fototechniczne w Warszawie. Kończyły je między innymi Anna Pietuszek czy Iwona Burdzanowska, wspaniałe polskie fotoreporterki. Jak długo mama prowadziła zakład fotograficzny?

Dopiero niedawno go zamknęła. Miała w Smyku drugi w Warszawie minilab, czyli szybkie laboratorium fotograficzne, i zajmowała się wywoływaniem nie tylko zdjęć prywatnych, ale też tych dostarczanych przez zawodowców. W tej chwili prowadzi moje archiwum domowe. Mówi, że ma dość tych naszych zdjęć w telefonie, więc przesyłam jej fotografie, które robię swoim córkom, i mama mi je drukuje. Dzięki temu moje dzieci mają albumy rodzinne.

Kto przychodził do laboratorium?

Między innymi Damazy Kwiatkowski, wieloletni fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej, a potem Polskiej Agencji Prasowej, który przynosił fotografie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Wówczas w Pałacu Prezydenckim nie było miejsca, gdzie można by robić odbitki. Ufał mojej mamie i wiedział, że żadne zdjęcia nie wypłyną. Kiedyś rzucił hasło, że szuka kogoś do pracy w archiwum, więc rodzice zaproponowali mnie, bo po skończeniu szkoły średniej nie miałam na siebie pomysłu. Przyszłam w 1997 roku i zostałam do dziś.

Czyli ponad ćwierć wieku?

Miałam czteroletnią przerwę za kadencji prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wtedy się ze mną pożegnano. Wróciłam w 2010 roku, na początku kadencji Bronisława Komorowskiego. Miałam też krótkie przerwy, gdy byłam w ciąży, ale wracałam potem do pracy.

Zatrzymajmy się, proszę, na pierwszych tygodniach twojej pracy w kancelarii. Kto tworzył zespół fotograficzny?

Alicja Niziołek – fotografowała pierwszą damę i prezydenta, Damazy – główny fotograf, i ja – miałam się zajmować archiwum. Po moim zatrudnieniu pożegnano się z Alicją, a Damazy zaczął wprowadzać mnie w pracę fotografa. Przedstawił mnie prezydentowi Kwaśniewskiemu i tak zostałam częścią zespołu dokumentującego jego pracę.

ELIZA RADZIKOWSKA-BIAŁOBRZEWSKA (ur. 1977), fotografa. Pracuje w Kancelarii Prezydenta RP od 1997 roku. Zajmuje się dokumentowaniem pracy prezydenta oraz pierwszej damy.

[Kup książkę](#)

Jak wspominasz to spotkanie?

O to samo spytał Damazy, gdy wróciłam z gabinetu prezydenta. Ale wiesz, miałam dwadzieścia lat. Chyba nie byłam do końca świadoma znaczenia tego spotkania.

Jak wyglądała twoja nauka zawodu?

Sporo o pracy w kancelarii i wymaganiach dotyczących zdjęć nauczyłam się, przeglądając i porządkując archiwum. Oglądając zdjęcia, zapamiętywałam ciekawe kadry. Na pierwsze tematy chodziłam z Damazym, który mówił mi, gdzie stanąć, żeby zrobić dobre zdjęcie, ale też nie wchodzić komuś w kadr. Uczyłam się w biegu i jakoś to szło. Z czasem zyskiwałam na samodzielności.

Przed wami nie było w kancelarii zespołu fotograficznego? Prezydent Lech Wałęsa nie miał swojego fotografa?

Nie miał osobistego, do tej pracy oddelegowano kogoś z Polskiej Agencji Prasowej. Gdy obsługiwał wydarzenia, dostawał do dyspozycji jeden z pokoi, numer 110. Gdy Damazy zaczął pracę z prezydentem Kwaśniewskim, to też zajął ten pokój. Jest to nadal przestrzeń pracy fotografów i jednocześnie najlepsze miejsce w pałacu, wszędzie można z niego dobiec w kilka minut.

Koniec lat 90. to praca na analogowym sprzęcie, tymczasem świat powoli zaczynał się zmieniać, to czasy zachłystnięcia się internetem. Radziliście sobie tylko we dwójkę?

Pracowałam tylko z Damazym. Mimo że wydarzeń z udziałem prezydenta kiedyś było bardzo dużo, a zdjęcia robiliśmy aparatami analogowymi, to dawaliśmy sobie radę. Dopiero po paru latach mojej pracy powstała strona internetowa Prezydenta RP, zdjęcia wpadały na nią z tygodniowym opóźnieniem. To były trochę inne czasy i dla nikogo wówczas to nie było dziwne. Dzisiaj świat funkcjonuje w innym rytmie i dwie osoby do obsługi fotograficznej urzędu to byłoby zdecydowanie za mało. Aparaty cyfrowe pojawiły się pod koniec drugiej kadencji prezydenta Kwaśniewskiego.

Jaki aparat kupiliście?

Damazy wywalczył pierwszy aparat cyfrowy, który kosztował ze 150 tysięcy złotych. Za te pieniądze wtedy można było kupić mieszkanie na Dolnym Mokotowie. To był twór Kodaka z przystawką Canona. Można było za jednym zamachem zrobić cztery czy pięć zdjęć. Damazy tym fotografował, ale się wściekał, że technicznie to jest bardzo niedoskonały sprzęt.

Eliza Radzikowska-Białobrzewska oraz prezydenci: George W. Bush i Aleksander Kwaśniewski, Biały Dom, 17 lipca 2002 roku.

